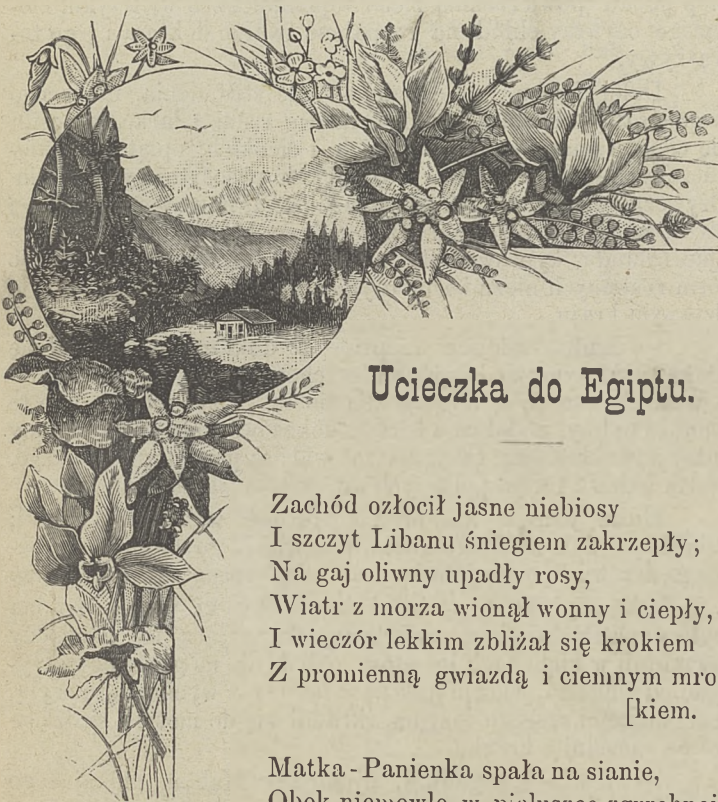


# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



## Ucieczka do Egiptu.

Zachód ozłocił jasne niebiosy  
I szczyt Libanu śniegiem zakrzepły ;  
Na gaj oliwny upadły rosy,  
Wiatr z morza wionął wonny i ciepły,  
I wieczór lekkim zbliżał się krokiem  
Z promienną gwiazdą i ciemnym mro-  
[kiem.

Matka - Pnienka spała na sianie,  
Obok niemowlę w pieluszcze zgrzebnej;

Z bydełkiem jedno dzielił posłanie  
Józef opiekun, staruszek srebrny.  
Przez szpary belek, wiązania w górze  
Gwiazdka wschodziła na nocne stróże.

Z pod głowy starca osiołek stary  
Raz wraz po garstce wyciągał siano —  
Przy nim rogatych wólków do pary,  
Co z jarmem w pole wyruszają rano ;  
Patrząc pół okiem na Dziecię śpiące,  
Żują bez chrzęstu trawy pachnące.

W kątku złożone królów ofiary :  
Kruszec tu blaskiem pali się w mroku,  
Z alabastrowej wonieje czary

Oliwa mirry, stawiona z boku ;  
I woń kadzideł snuje się wkoło,  
Na śpiących szaty, na ciche czoło.

Porwał się Józef z lichej pościółki,  
Zda mu się, słyszy odchodne stopy...  
W górze ćwierknęły zcicha jaskółki  
W glinianem gniazdku pod belką szopy,  
A Józef potarł czoło sędziwe :  
„Co było senne — a co prawdziwe!..”

W oczach mu blaski, zda się, drżą jeszcze,  
Choć noc się wkoło cieniem rozsnuwa,  
Głos mu anielski w uchu szeleszcze,  
Choć tylko świerszczyk pod żłobkiem czuwa —  
Lecz się w rozmyślach nie długo bawił,  
Bo dziwne rzeczy Pan mu w śnie jawił.

Wnet nad Maryją oto się chyli  
I głos stłumiony ciszę roztrąca :  
„Zbudź się Maryjo!” i znów po chwili  
„Zbudź się — och zbudź się!” — powstała drżąca —  
„Gotuj Maryjo sakwy podróżne,  
Bo chwile tutaj w nieszczęścia płuźne.”

Ani pytała gdzie krok poniosą,  
Ani badała dalszej przyczyny :  
„Będziem za miastem przed ranną rosą,  
Błagam o jedno, nie zbudź Dzieciny!”  
Wiąże do stopy sandał z sitowia,  
Gwiazdy ją tułą w blask złotogłowia.

Nad Betleemem cisza głęboka —  
Gdzieś - nigdzieś ptaszę w gąszczach zakwili...  
A Józefowi łza padnie z oka  
Na myśl tych kwileń, co już po chwili  
Mają tu rozbrzmieć strasznie, boleśnie,  
Nad miastem błogo uśpionem we śnie.

Oto już w torbie zapas ubogi  
Chleba i sera z pastuszków daru —  
Już i osiołek gotów do drogi  
I powiew świeży, gdzieś z łąk obszaru  
Przez roztworzone na ścieżaj wrota  
Przybiegł i szepnął: „Wnet zorza złota —

„Spiesz się Józefie! wnet ranek krwawy.”  
Lecz Józef w myślach biedzi się srodze:  
„Jak tu powiedzieć — Boże łaskawy!  
Jak tu powiedzieć Maryi niebode,  
Że taka droga długa, daleka,  
Że tyle trudów, trwogi ją czeka!

Ale Maryi słodkie żrenice  
Bez słów odgadły Józefa trwogi:  
Nadziemskim blaskiem spłonęło lice —  
I już na łono, do owej drogi  
Garnąc niemowlę, to jeno rzecze:  
„On idzie z nami — ufaj człowiecze!”

O słodkie słowo świętej otuchy!...  
Ludzi błędzących w życia rozdroży  
Nieraz przeraża manowiec głuchy  
I duch znękany w sobie się trwoży,  
Bo cel daleki, nie widny oku,  
A stopy w każdym krwawią się kroku.

Lecz dla prawego w trudach żywota  
I w każdej męce i w każdej trwodze,  
Ta sama gwiazda jaśnieje złota,  
Która egipskiej świeciła drodze —  
Niech więc go zbroją ta myśl oblecze:  
Bóg idzie z tobą — ufaj, człowiecze!

*Zofia Mrozowicka.*

## SIŁA NICI PAJĘCZEJ.

Czy istnieje coś lżejszego od pajęczyny? Jest to nitczka cieńsza od włosa, a jednak po niej spuszcza się duży pająk, widocznie więc lekkość nie odbiera jej siły znoszenia ciężarów; tę siłę zowiemy wytrzymałością. Jeżeli naprzykład mamy dwa druty jednakowej grubości, lecz jeden z nich jest z miedzi, drugi ze stali, to na obydwóch możemy zawiesić jednakowej wagi ciężary; drut stalowy uniesie ów ciężar, zaś drut miedziany zerwie się nie mogąc unieść tego ciężaru, czyli, że stal ma większą od miedzi wytrzymałość. Otoż wytrzymałość pajęczyny jest istotnie zadziwiająco wielką.

Na wyspie Madagaskar żyją pająki, olbrzymy swojego rodzaju, bo dochodzą kilkunastu centymetrów wielkości; ich pajęczyna, żółtego koloru może unieść dziesięć do dwudziestu kilku łutów wagi.

Próbowano też wyrabiać tkaniny pajęcze. Jest to rzecz zupełnie możliwą, lecz nie podobna założyć na wielką skalę urządzonej przędzalni pajęczyny, dla braku materiału. Pająki wprawdzie wydają wielką ilość pajęczyny, lecz nie można hodować tych pracowitych stworzeń, gdyż są tak żarłoczne, że pająk zjada pająka bez żadnego skrupułu. Gdybyśmy więc zgromadzili w danym miejscu pewną ich liczbę, toczyłyby z sobą ciągłe walki, wyginęłyby ich mnóstwo;

trudno zaś umieszczać każdego pająka osobno lub też zbierać pajęczyny, wyszukując kryjówek złośliwych stworzeń.

Same pająki mają też wielką siłę; czarny pająk Epeire, który sieci zastawia w wodnych roślinach, potrafi walczyć zwycięzko nawet z małą, niedawno wyklutą rybą, którą chwyta gdy nieostroźnie podplynie do jego siedliska.

*A. M.*

## W pustyniach Australii.

PRZEZ

*Władysława Umińskiego.*

Poza tą polaną, nad samym brzegiem wąskiej rzeczki, hulaśliwie skaczącej po czarnych kamieniach, zapelniających jej dno, widniał nieprzebyty prawie gąszcz paproci drzewiastych, których wspaniałe konary kołysały się na kilkanaście stóp ponad powierzchnią ziemi w podmuchach wietrzyku, niosącego ożywczy chłód na rozpalone twarze doktora i jego towarzyszy.

Dalej jeszcze, po drugiej stronie strumienia, noszącego w geografii Australii szumną nazwę rzeki Clarke, wznosiła się ciemna ściana palm, wysokich i cienkich, oplątanych niezliczonymi splotami lian i rozmaitych pasożytniczych roślin. Ożywcza wilgoć, tak skąpo udzielona od natury najmniejszej części świata, w połączeniu z łagodnym klimatem środkowego Queenslandu, wyprowadziła z łona urodzajnej ziemi mnóstwo form roślinnych niezmiernie oryginalnych, jak wszystko w tym dziwnym kraju.

— Ładne miejsce, nieprawdaż doktorze? — odezwał się Dugan, zatrzymując swojego wierzchowca. Botanik i entomolog znajdzie tu dość zajęcia dla siebie. Czy widzisz pan te smukłe palmy, podobne z liści do kokosów? My je nazywamy tutaj adwokackiem; tam pan zaś widzisz prześliczne banksye, jestto jedno z najpospolitszych drzew w Australii... tu zaś...

Halm jednak ani myślał słuchać wykładu botaniki; zsiadł spiesznie ze swego konia, przywiązał go do pnia najbliższego drzewa i pochwywszy za siatkę, rozpoczął polowanie.

Doktorowi, który posiadał bardzo krótki wzrok, trudno było wypatrzeć drobną zwierzynę, ukrywającą się pomiędzy liśćmi lub w kielichach kwiatów; Abel nie mógł się powstrzymać od śmiechu, widząc jak nasz uczonec z wyciągniętą szyją, z rozwartymi szeroko oczyma, skradał się do motyla, siedzącego na sąsiednim krzaku.

— Jest? — zagadnął, ujrawszy Halma, kłękającego u swej siatki.

— Chybiłem! — odparł płacząco doktor, a zdawało mi się, że go już pochwyliłem. Oh, jaki jestem niezręczny!

— Pozwól pan pomódz sobie — rzekł uprzejmie czarny student, zeskakując z siodła; kto wie, czy mi się nie uda złapać co dla pana.

— Kiedy tak, to i ja wezmę udział w polowaniu! — zawołał Dugan, zsiadając także; zamiast siatki będę używał kapelusza; przypomnę sobie mój wiek dziecinny, uganiając się za temi pięknymi motylkami — dodał śmiejąc się wesoło.

Okazało się niebawem, iż pan Artur i jego wychowanec, pomimo braku siatek, łapali owady daleko zręczniejsz od doktora. Abel w mgnieniu oka przykrył kapeluszem wspaniałego motyla i tryumfalnie wręczył go uczoneму.

— Jest to wcale niepospolity gatunek — rzekł — spotkać go można jedynie pomiędzy zwrotnikiem, a równikiem, w południowej Australii, a nawet w Nowej Walii daremnie był go pan szukać.

— Bardzo dziękuję! — odparł doktor, przyjmując owada — jestto, jeżeli się nie mylę...

Nie dokończył, gdyż tuż przed nim, na białym kielichu łąkowego kwiatu spoczął iście zadziwiającej piękności motyl; rozwinięty kokieteryjnie swe wielkie, niebieskawo-złote skrzydła, pić się zaczął słodkim sokiem. Abel spostrzegł także wspaniałego owada i z szybkością błyskawicy rzucił nań swój kapelusz. W pośpiechu wszakże nie trafił i motyl odleciał przestraszony.

— Do tysiąca dyabłów! — zawołał Halm, tupiąc nogami z oburzenia i gniewu; spłoszyłeś mi pan nieznany zupełnie gatunek.

— Nie rozpaczaj, doktorze — rzekł Dugan; — motyl o którego ci tak chodzi usiadł znowu ot na tym samym krzaku.

W istocie tak było; Halm pocieszony nieco począł się skradać ku owadowi z jak największą ostrożnością, trzymając w pogotowiu siatkę. Już, już miał przykryć kapryśne stworzenie, gdy to znowu odleciało, jakby szydząc sobie z usiłowań szanownego doktora.

— Muszę go schwytać koniecznie! — zawołał entomolog. Panie Arturze, panie Ablu! Na Boga, nie pozwólcie mu uciec! n. w. W wezwaniu tem była taka błagalna prośba, że Dugan i jego wychowawiec rzucili się w pogoń za bujającym w promieniach słońca motylem.

Abel, chcąc ułatwić ten trudny pościg, wskoczył na konia i, ułamawszy duży liść wachlarzowatej palmy, pocwałował ku rzece, aby zawrócić, dążącego ku niej motyla. Udało mu się to w zupełności i piękny mieszkawiec łąki poleciał znowu w kierunku doktora, który oczekiwał nań z iskrzącymi oczyma i wzniesioną do góry siatką.

Zaczęła się prawdziwa obława z naganą. Halm nie zważając ani na ostrą trawę, ani na cierniste krzaki, rozdzierające mu odzienie i kaleczące ręce, ani na kamienie, biegał za motylem, jak chart za zwierzyną. Parokrotnie przewrócił się o wystające korzenie, ale to nie powstrzymało go; z oczyma wlepionymi w motyla pędził na oślep.

Owad, ścigany tak zawzięcie, opuścił łąkę i wpadł do lasu, doktor za nim. Abel i Dugan, chcąc nie chcąc musieli dążyć wślad za zaciekłym entomologiem, ażeby nie stracić go z oczu. Pościg odbywał się w dalszym ciągu, pomiędzy drzewami; niestety tak pożądanym przez Halma motylem, szczęśliwie unikł wszystkich zasadzek i wreszcie, ku wielkiemu żmartwieciu Halma, przepadł gdzieś w krzakach.

Nasz uczonec nie dał jednak za wygraną i torując sobie drogę rękami, wśród bujnie rosnących nad rzeką paproci drzewiastych, szedł uparcie w kierunku miejsca, gdzie widział po raz ostatni motyla. Po chwili znalazł się w niewielkiej, otwartej przestrzeni i zatrzymawszy się, szukał oczyma przedmiotu swej pożądlivosti. Zamiast jednak barwnych skrzydeł motyla, ujrzał coś, co wydarło z jego szybko podnoszącej się piersi przeciągły okrzyk podziwienia, pomieszanego z przestrawieniem.

Tuż przed nim, u stóp olbrzymiego eukaliptusa, wznosiły się szczątki naprędce kiedyś skleconego z gałęzi szalasu; wiatry poobrywały już oddawna liście palmowe, okrywające dach tego pierwotnego schronienia, podobnego do bud, wznoszonych przez dzikich krajowców.

Poprzez przezroczyście rusztowanie zrujnowanego szalasu, doktor dostrzegł z dreszczem nawpół obmażony z ciała szkielet ludzki, na którym tu i owdzie wisiły strzępki poszarpanej odzieży. Trup spoczywał na zeschłej trawie i mchu, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, spoglądając zapadniętymi głęboko w czaszkę, przyschłymi już oczyma na stojącego naprzeciw Halma. Nasz uczonec, uczuwszy nagle na sobie ten okropny wzrok śmierci, wzdrygnął się mimowolnie i chciał się odwrócić, lecz jakaś magnetyczna siła przykuła go do ziemi.

Niebawem do miejsca, w którym znajdował się doktor, przybył Abel i zaraz potem zjawił się Dugan.

— Jakiś nieszczęśliwy, którego tutaj śmierć zaskoczyła! — zawołał podróżnik ze współczuciem. — Białe czy krajowiec?

— Białe! — odparł Abel, który, zsiadłszy z konia, zbliżył się do trupa.

— Zapewne poszukiwacz złota — wtrącił Halm.

— Nie, nie! — rzekł Dugan — patrz pan, tutaj leży jego torba podróżna, z której zapewne jaki dingo \*) wyciągnął resztkę żywności. Zdaje się nawet, że psy naruszyły ciało tego biedaka — dodał, schylając się nad nieboszczykiem. Narzędzi górniczych niema przecie.

Poszarpane piersi trupa, ogryziona doszczętnie prawie lewa noga i ramię dowodziły słuszności tego przypuszczenia.

— Jakże ten nieszczęśliwy mógł umrzeć o godzinę drogi zaledwie od stacy — rzekł doktor; nie wiedział zapewne, iż znajdował się tak blisko ludzi.

Dugan zaciekawiony, zaczął bacznie oglądać szalasa, i rozmaite drobne przedmioty, rozrzucone w nieładzie dokoła trupa, starając się odgadnąć treść dramatu, jaki rozegrał się tutaj niedawno; wypowiadał przytem głośno swoje domysły, ażeby towarzysze jego mogli ocenić ich trafność.

— Człowiek ten dostał się tutaj po długiej i uciążliwej podróży — rzekł — patrzcie jak zniszczone ma obuwie i odzież; zdaje się nadto iż cierpiał głód, bo w jego torbie niema ani trochę mąki, którąby przecie psy pozostawiły nietkniętą. Nie miał też broni myśliwskiej, lecz tylko rewolwer... Tak, kto wie nawet, czy nie umarł głodową śmiercią. Nie widać nigdzie śladów, żeby jadł tu cokolwiekbądź.

— Gotował herbatę przy ogniu! — wtrącił Abel, wskazując na blaszane naczynie, leżące pomiędzy niedopalonemi główniami.

— Musiał umrzeć w dzień, bo oto kołdra wełniana leży zwinęta pod jego głową — ciągnął dalej Dugan, zbliżając się do szalasu. Ah, czekajcie no, tu jest jakaś puszka.

Rzekłszy to, pan Artur schylił się, wszedł do szalasu na czworakach i po chwili wyniósł ztamtąd zieloną, cynkową puszkę, zupełnie podobną do tej, jakich używają przyrodnicy do czasowego przechowywania znalezionych okazów.

Doktor ujrzawszy ten interesujący go przedmiot, wyciągnął po niego obie ręce.

— Zaraz, zaraz, panie Fryderyku — rzekł Dugan — w tej puszcze znajduje się coś ciężkiego. Aha, próbki minerałów! A więc nieboszczyk był człowiekiem, w każdym razie inteligentnym.

— Jeżeli się nie mylę, natrafiłszy przypadkiem na szczątki członka jakiejś naukowej wyprawy do wnętrza łądu; patrzcie panowie, te odłamki skał są wybrane i odlupane wprawna ręką znawcy. Oto kawałek złotodajnego kwarcu... czy dostrzegasz, doktorze, te błyszczące żółtawe żyłki? Tutaj znowu miedziana ruda, jest nawet okruch węgla kamiennego.

— A te drobne kamyczki? — zagadnął Abel, wyjmując z puszek okrągławe ziarna, nawpół przeświecające.

— To! Czekaj, to czysty kwarc... nie... widzę kąty i płaszczyzny regularnej formy... kwarc nie krystalizuje się w ten sposób i nie posiada takiego blasku. Te kamyczki przypominają korundy.

— Nie może być! — zawołał zdziwiony Abel. — Czyżby ten człowiek miał odkryć gdzie kopalnię drogich kamieni.

— Nie umiem powiedzieć napewno, czy to są rzeczywiste korundy — rzekł Dugan, podając jedno ziarnko doktorowi. Ah, ah, tutaj znów blaszki rodzimego złota!

— A to, co to takiego? — zagadnął Abel, pokazując spory kamień, dziwnych kształtów.

— To? Czy nie widzisz, że trzymam w ręku skamieniałość? Będzie to prawdopodobnie bardzo rzadka muszla z epoki przejściowej... Panowie, odkrywajmy głowy! Tu leży człowiek, który zginął dla dobra nauki!

Na to wezwanie pełne powagi, Abel zdjął kapelusz i uklęknął. Doktor machinalnie poszedł za jego przykładem. Zmówiwszy krótką modlitwę za zmarłych, trzej nasi znajomi spojrzeli po sobie pytająco.

\*) Dingo jestto gatunek dzikiego psa, zamieszkującego Australię.

— Należy oddać temu męczennikowi ostatnią przysługę na którą niestety, tak długo musiał czekać — rzekł Dugan — zanim jednak przystąpimy do tej smutnej czynności, musimy wprzód zobaczyć, czy nieboszczyk niema przy sobie jakich dokumentów, z których moglibyśmy się dowiedzieć o jego nazwisku i pochodzeniu.

Abel kiwnął potakująco głową i uklękawszy nad ciałem, które wydawało już nadzwyczaj przykrą woń, zaczął przetrząsać szczątki ubrania, przyschniętego do bielejących żeber.

— Niema nic — rzekł, skończywszy swe poszukiwania.

— Szkoda! — westchnął Dugan; — nazwisko jego nie przejdzie do potomności; biedak, nie otrzyma nawet tej skromnej nagrody za swoje poświęcenie.

Podczas gdy Abel klęczał nad trupem, doktor ze swej strony oglądał starannie rozmaite drobne przedmioty, rozrzucone przed szalasek; uwagę jego zwróciła w końcu niewielka, płaska manierka podróżna, zawieszona na sznurku u jednej

ić dalej... To mój testament... Żegnaj daleka ojczyzno bądź zdrową Marjo! Umieram... gorączka mnie pożera... męki głodowe ustały... Koniec.

Jan Wilski."

Poniżej tego nazwiska, położonego drżącą ręką, znajdował się jakiś rysunek i dopisek. Wszystko to było jednak tak zamazanem, że Dugan mógł przeczytać kilka zaledwie wyrazów bez związku, jak: zachód, pustynią, słupów, koryto rzeki, góra piaskowa, kamieniami bez wody, susza, przybór nagły jeziora, przez chciwość, znaczenia których nie podobna było żadną miarą odgadnąć.

Linie, skreślone węglem, zatarły się także. Dugan wszakże, przypatrując się bacznie dokumentowi, dostzegł, iż tworzyły one naszkicowany z gruba plan topograficzny jakiejś miejscowości, prawdopodobnie tej, o której wspominał nieboszczyk.

— Wszystko to jest niezmiernie zagadkowe — rzekł doktor, kiedy Dugan skończył czytać znaleziony dokument —



Latarnia morska w Walde.

z gałęzi. Machinalnie zdjął ją i zaczął od niechcienia oglądać, gdy ze zdziwieniem spostrzegł, iż z szyjki, niezatkaanej zupełnie szczelnie korkiem, wystaje zwitek pożółkłego papieru; wyciągnął go pośpiesznie i rozwinął.

— Dokument! — zawolał, zwracając się do towarzyszy.

— Pokaż, doktorze, pokaż!

Dugan wyrwał z rąk Halma suchy i doskonale przechowany papier, na którym niewyraźnie skreślono, przy pomocy kawałka opalanej gałązki, kilka następujących wierszy:

dnia 7 stycznia 1893 r.

Przechodniu, który znajdziesz i oddasz ziemi moje kości, jeżeli cię interesują kaprysy i dziwy przyrody, udaj się na zachód i staraj się dotrzeć do samego serca Australii. Nie pożałujesz trudów i niebezpieczeństw, jakie cię spotkają w tej dalekiej podróży. Znajdziesz bowiem w górzystej krainie wiele niespodzianek. Idź tam, lecz strzeż się pokus, na jakie będziesz wystawionym! Jeżeli chciwość opanuje twe serce i jeżeli za jej podszeptem zdradzisz naukę, tak jak myśmny ją zdradzili, biada ci!

Będziesz tem, czem ja jestem w chwili, gdy czytasz te słowa...

Jutro wszystko się skończy... czuję to, a nie mam już sił

czyż można wierzyć temu człowiekowi, któremu zapewne gorączka odjęła przytomność umysłu?

Pan Artur zamyślił się głęboko.

— Nie wiem — odparł, oglądając bacznie papier — zdaje mi się jednak, iż w tych słowach musi się znajdować pewna część prawdy. Zresztą, minerały, które mamy przed oczyma, dają nam pewną rękojmię, iż tak jest w istocie.

— Czyżby rzeczywiście nieboszczyk był członkiem jakiejś naukowej wyprawy, która zginęła w pustyniach? — wtrącił Abel.

— Tak się zdaje, mój chłopcze. Niestety! Podobne wypadki zdarzały się nieraz.

— Cóż jednak znaczą owe tajemnicze wzmianki o pokusach, o zdradzie, popełnionej względem nauki?

— Nad tem trzeba się dłużej zastanowić. Przyznam ci się, iż i ja także jestem bardzo zaciekawiony treścią niniejszego dokumentu; zbadamy go dokładnie po powrocie do domu. Tymczasem pochowajmy szczątki tego nieszczęśliwego, który zapewne wycierpiął wiele.

— Czemże wykopimy grób?

— To prawda! A więc trzeba zatrzymać się z tem do jutra. Czy niema tu jeszcze jakiego przedmiotu, któryby nam dał wskazówki się w tej tajemniczej sprawie?



Ubiory na Wschodzie.

— Oprócz puszki z minerałami, torby i dokumentu, zawartego w manierce, nie widzę nic więcej, zasługującego na uwagę — odparł Abel, przeszukawszy raz jeszcze wnętrze szafasu, w którym spoczywał szkielet.

— Wracajmy zatem! — zawołał Dugan — chyba, że doktor zechce jeszcze gonić swojego motyla.

Halm, pod wpływem niespodziewanego zdarzenia, zapomniał jednak zupełnie o owadach i w milczeniu dosiadł konia. Nasza trójka wracała wolnym truchtem do stacji, roz-

mawiając po drodze o zagadkowym dokumencie i jego nieszczęśliwym autorze.

## II.

### ZAGADKA DO ROZWIĄZANIA.

Tajemniczy testament nieznanego zawierał, jak widzieliśmy, cały szereg wielce intrygujących zagadek, które Dugan postanowił koniecznie rozwiązać. Natychmiast po-

powrocie zabrano się więc do zbadania przedmiotów, znalezionych przy trupie Wilskiego i do powtórnego odczytania dokumentu.

(d. c. n.)

## LATARNIA MORSKA W WALDE.

Do najbliższych a zarazem najwykwintniejszych strażnic morskich wykonanych z kruszcu, należy bez zaprzeczenia przedstawiona na naszej rycinie latarnia morska w Walde, której zasadniczy materiał budowlany stanowi żelazo. Latarnia ta znajdująca się w pobliżu francuzkich wybrzeży Pas-de-Calais, pomiędzy Calais i Gravelines, zbudowaną została na piaszczystym gruncie ciągle zalewanym wodą, w skutek czego musiano użyć zupełnie odrębnego sposobu budowy dla nadania jej trwałości. Składa się więc ona z platformy opartej na sześciu długich żelaznych słupach, spoczywających ukośnie na ośmiokątnej osadzie, mającej fundamenta na 5 metrów zakopane w piasku. Te słupy metalowe służące za podstawę, są powiązane między sobą pobocznemi belkami i tak zwanemi krzyżami św. Andrzeja. (Prawdopodobnie nazwa ta pochodzi od owego ukośnego krzyża, na którym św. Andrzej poniósł śmierć męczeńską). Ramiona tychże są opatrzone ruchomemi śrubami; kończą się one w niższej części pogrążonej w piasku, szrubami podobnie głęboko umieszczonemi przy podwalinie.

W samym środku platformy wzniesiony jest domek dla strażnika, zewnątrz powleczony tynkiem, wewnątrz zaś wyłożony dębowemi deskami. Zawiera on kilka pokoiów mających wyłączone przeznaczenie. Jest tam również korytaryk, składy na wodę, zapasy żywności, węgle, pokój zawierający dwa łóżka składane i zamykane na dzień do szafy, oraz piecyk żelazny służący za kuchnię. Przez kręcone schody z lanego żelaza wchodzi się do pokoju soczewki, znajdującej się na środku małego tarasu, okrążającego dach domu.

Światło z latarni w Walde rozlewa się w promieniu 18 metrów na otaczającą zatokę; sama strażnica jest położona o 11-cie metrów nad powierzchnią morza. Należy ona już do dawniejszych, ponieważ została skończoną jeszcze w r. 1860. Latarnia ta oddaje nadzwyczaj ważne usługi żeglarzom, gdyż okolice morza jakie oświetla, są nader niebezpieczne.

Na prawo od latarni, na fotografiamie z którego została skopiowana rycina, znajduje się okręt zagrożony zgubą, zwany Viktor, rozbity za powrotem z Australii. Okręt ten powracał ztamtąd z ogromnym zapasem skrzyń pełnych wełny i płynął do Dunkierki. Ładunek został uratowany, okręt zaś zatonął.

Opisana powyżej latarnia morska, już od lat trzydziestu zapełniła brak dostatecznego systemu oświetlania niebezpiecznych toni morskich, znajdujących się przy północnych wybrzeżach Francji.

Wzór do zasadniczego zbudowania latarni z żelaza, został wzięty z podobnegoż zniszczonego budynku, wzniesionego na wybrzeżach Gujany francuzkiej.

Szkielet tej olbrzymiej budowy żelaznej, składa się z 16 słupów, z których każdy złożony jest z 14 belek. Każda belka jest ukuta z prostego żelaza w kształcie litery T, wszystkie zaś są skute razem w ten sposób, iż stanowią jedną całość.

Latarnia ta została wykonana we Francji, następnie zaś przewieziona morzem i oddana do użytku w r. 1865.

## Ubiory na Wschodzie.

Stosunki wzajemne ludów cwilizowanych, zarówno z sobą jak z odleglejszemi stronami świata, wpływają nie tylko na zmiany obyczaju, lecz i zewnętrznego wyglądu. Ubiory mianowicie, zmieniają się wszędzie z postępem czasu, stąd też późniejsze różnią się od dawnych, a niekiedy nawet zupełnie inne przybierają formy. Na wschodzie jedynie, gdzie mało dotąd znane nabytki cywilizacyi, widzieć się dają w pierwotnych przedwiekowych kształtach. Dziewczęta np. z Nazaretu, miasteczka jak wiadomo zamieszkiwanego niegdyś przez Zbawiciela, przedstawione na rycinie naszej w stroju świątecznym, zachowały prawdopodobnie ubiór jaki niewiasty tameczne nosiły w owych czasach. Na wierzchnią suknię narzucają długie płaszcze, pokrywające je od stóp do głowy, osłonej welonem przypominającym zakonne ubiory, równie jak reszta stroju, który za wzór przyjęły założycielki klasztorów w zgromadzeniach swoich. Dziewczęta te są chrześcijankami, gdyż mahometanki mają twarze zakryte.

## ONA

OPOWIADANIE

przez Zofię Kowerską.

(Ciąg dalszy)

Dzieci przelekły się surowej twarzy ojca. Nawet Marytka, która przy Walburgowej na różne kaprysy i dąsy sobie pozwalała, uciekła nagle. Cała gromadka ze spuszczeniem głowami wróciła do swego pokoju. Tam dopiero rozpoczęła się scena krzykliwa i niemiła. Walburgowa wyprawiała spazmatyczne płacze, nazywała dzieci nieszczęśliwemi sierotami, a przysłała żonę ich ojca nielitościwą, podłą duszą. Płakać przestała dopiero wtedy, gdy jej oznajmiono, że ciasto przeraża i trzeba z niego robić struclę. Miała przekonanie, że nikt takich strucl z makiem i migdałami robić nie potrafi jak ona. Łzy jej oschły, przypasała biały fartuch i pobiegła do kuchni. Tymczasem bona francuzka zaczęła dzieci uspokajać. Opowiedziała im, że ona sama była wychowana przez macochę, dobrą kobietę, dla której ma tylko wdzięczność.

— Dla waszego ojca potrzebna jest żona — mówiła. — Dom mu niemiły bez gospodyni i nie dziwnego, że z niego ucieka. Mężczyźni zwykle nie umieją oddać się wychowaniu dzieci i nie mają na to czasu, dobrze więc, że przybędzie matka, która nie pozwoli na to, by się bony z sobą kłóciły i której głos będzie w domu stanowczy. W Litowie znać na każdym kroku, że pani niema i rozkazów jej brak wszędzie.

Dzieci były tak przyzwyczajone do plotek, że powtórzyły Walburgowej to, co mówiła francuzka. Walburgowa wpadła w złość.

— Ona tak pragnie przybycia pani — wołała — bo znieść nie może, że ja tu mam więcej władzy od niej, że nie może wszystkim dyrygować, jakby chciała! Ona też niema żadnego przywiązania do was! Jej wszystko jedno, czy wam będzie dobrze czy źle!

Potem wzięła na stronę Elżunię i powiedziała jej:

— Kto tu powinien być panią, jak nie ty, moje dziecko? Masz już dwanaście lat, za cztery lata będziesz dorosłą i będziesz mogła tu wszystkim rządzić! Kiedy twoją mamę Pan Bóg zabrał, to ty, jako najstarsza, powinnaś objąć rządy w domu. Ta, co tu przychodzi, to przybłąda, obłudnica! C...

tu wszystko zagarnie, a jak ty dorosisz, nie będziesz miała prawa niczem rozporządzić! To miejsce, które zajmowała twoja matka rodzona, należy się tobie, a nie innej!

Elżunia była niezmiernie dumna i próżna, wydawało jej się bardzo wielką rzeczą to, że była najstarsza w rodzinie. Lubiła przewodzić, udawać dorosłą pannę, wtrącać się do wszystkiego, jak gdyby miała wielki rozum i wielkie doświadczenie. Słowa Walburgowej poruszyły w niej struny najżywsze. Tak, ona tu powinna być panią, a nie jakaś obca, nieznajoma, wciskająca się przemocą na stanowisko, które do niej, do Elżuni należało.

Nazajutrz, gdy się pierwsza gwiazda na niebie ukazała, ojciec, dzieci i dwie bony zgrupowali się koło stołu. Ojciec był poważny i surowy, dzieci onieśmiałe. Przy łamaniu się opłatkiem i czułych uściskach lody jakoś stajały. Gdyby nie obecność Walburgowej i francuzki, pan Mierznicki byłby dzieciom wspominał może o osobie, o której myślał i która za parę miesięcy miała przy stole rodziny zasiadać codziennie. Ale przy obcych kobietach nie chciał o tem mówić.

Po skończonym wigilijnym obiedzie ojciec i dzieci przeszli do salonu. Ojciec zamknął drzwi za sobą i został sam z dziećmi. Drzewko, którego świeczki zapalił lokaj, płonęło w całym blasku. Dzieci wydały okrzyk radości. Marytka biegała w około klaszcząc w ręce, zaś Broniś stanął w podziw przed ślicznymi rzeczami, umieszczonemi u stóp drzewka. Stał tam koń tak duży, jak małe źrebę, lalka ogromna i welocyped błyszcząca.

Ojciec częstował dzieci owocami i cukierkami urwanemi na cudownem drzewku; one dla ojca wybierały daktyle, które lubił. W końcu przyprowadził gromadkę do stóp drzewka i oddał najprzód skromniejsze przedmioty, które były jego darami dla dzieci. Znalazły się tam nożyczki z karteczką noszącą napis: Elżunia, pudełko farb dla Frania, papier listowy dla Bronisia i małe naczynia kuchenne z blachy dla Marytki.

Dzieci dziękowały, ojciec zaś rzekł im:

— To są moje skromne podarki, ale tego roku spotykają was dary przesliczne i kosztowne, które wam przysyła pani Zwojska, wasza przysła babcia. Kazała mi powiedzieć, że chce się wkupić w wasze łaski i zaskarbić sobie przyjaźń waszą. Gdy was pozna, będzie się o to starać przez obejście się z wami. Teraz, gdy was nie zna przysyła wam upominki, na jakie mnie nie stać, ale pani Zwojska mogła kupić dla was takie przesliczne rzeczy.

Podał Marytce lalkę ogromną ze zginającemi się członkami, z zamykającemi się powiekami, z prawdziwemi włosami i mówiącą wyraźnie „mama” za naciśnięciem sprężyny. Marytka skakała z radości, całowała ojca i lalkę, której bez końca kazała powtarzać „mama”.

Ogromny koń dostał się Bronisiowi, który uradowany odprowadził go na stronę i zaraz zaczął oglądać uprzęż, która się wkładała i zdejmowała jak z żywego konia.

Welocyped przypadł w udziale Franiowi, który niegdyś wyrwał pragnienie posiadania takiego żelaznego bieguna, co pan Mierznicki powiedział pani Zwojskiej.

Pod drzewkiem stało jeszcze duże politurowane pudło i drugie mniejsze, bardzo ozdobne. Elżunia dowiedziała się, że to była maszyna do szycia dla niej, oprócz której dostawała jeszcze wszelkie potrzebne przybory i pudełeczko do roboty.

Dziewczynka nie okazała najmniejszej radości. Podczas gdy ojciec mówił do niej, stała chmurna i zamyślona, wreszcie odeszła od drzewka, nie spojrzawszy nawet na maszynę i śliczne pudełko.

— Nie cieszy cię ten podarek? — zapytał ojciec.

— Nie przyjmę go — odparła stanowczo Elżunia.

— Nie przyjmiesz? Dla czego?

— Bo nie chcę podarków od nieznajomych.

— Moje dziecko — rzekł ojciec łagodnie. — Pani Zwojskiej nie znasz, to prawda, ale przestała ona być dla ciebie obcą, od chwili, w której jej córka zgodziła się na zostanie twoją żoną, a twoją przybraną matką. Tę maszynę do szycia

możesz przyjąć, skoro ja na to pozwalam i skoro sam ją dla ciebie przywiozłem.

Elżunia stała ze spuszczoną głową zaciąwszy się w uporze, a w gruncie bardzo zadowolona z tego, że mogła okazać ojcu niechęć swoją do przybywającej macochy.

Ojciec patrzył na nią smutny, szukając w swej głowie sposobu przekonania znarowionego dziecka.

— Moja Elżuniu — przemówił — widzę, że ktoś niechętny i niedobry pracował nad twoim umysłem i wmówił ci to zachowanie się twoje, które jest nieposłuszeństwem i nieuszanowaniem dla mnie.

— Nikt mi nie wmówił! Ja sama wiem!

— Cóż ty wiesz?

— Że za cztery lata będę dorosłą i mnie się należy miejsce pani w tym domu, ale nie jakiejś obcej! Kiedy moja rodzona mamusia umarła, to ja żadnej innej nie chcę i za matkę nie przyjmę!

— Ty panią w tym domu? — zawołał ojciec unosząc się gniewem. — Ależ ty jesteś dziecko! Niemądre i źle wychowane dziecko, które ojcu śmie odpowiadać zuchwale! Powinienem być, niestety, wcześniej pomyśleć o wprowadzeniu do domu tego osoby, któraby się wami opiekowała i nie pozwalała służącym w głowie wam przewracać. Idź sobie do swego pokoju. Jesteś niedobrą córką, a do tego aby być panią domu potrzeba rozumu, którego nieprędko nabędziesz, skoro w dwunastu latach tak jeszcze nie go nie masz.

Elżunia odeszła szlochając, ojciec zaś zwrócił się do innych dzieci.

— Z kim rozmawiacie o macosze i o tem, jaką ona być może?

— Pani Walowa mówi... — zaczęła Marytka.

— Co wam mówiła?

Broniś hardy i zawadyaka stanął zuchwale przed ojcem.

— Mówi prawdę! — zawołał wyzywająco. — Każda macocha to złośnica. Mówi, że ona tu chce panować w Litowie...

— Dosyć! — zawołał ojciec głosem tak groźnym, że aż dzieci zadrżały. Możecie nie dotykać podarków pani Zwojskiej. To wam wolno! Ale, że jesteście nietylko niemądre, ale złe dzieci, więc się odtąd z wami, jak ze złemi dziećmi obchodzić będę. Tego, co rozkażę, proszę słuchać, nie objawiając żadnego zdania, bo o nie pytać nie będę! Za dwa miesiące pojedziecie do Warszawy na mój ślub, potem zaś wróćcie tu z matką, której słuchać będziecie, bo ja tak chcę i każę!

Wyszedł z pokoju, a dzieci zostały przerażone i zamiepokojone. Po chwili wszakże Broniś poprowadził konia do dziecinnego pokoju, Marytka zniosła tam swoją lalkę, wszakże czekała tam już na dzieci rozjuszona Walburgowa, uprzedzona przez Elżunię!

— Co? — mówiła szeptem, bo się bała, by jej pan Mierznicki nie usłyszał — przysyła wam podarki? Chce się wam przypochlebić, żeby jej łatwiej było wszystko zagarnąć i wszystkim rządzić! Wy, jej nie wiercie! To wilk w skórce baranka! Już ja znam macochy! Takie najgorsze co dobroć udają! Niby to ja do rany przyłożę, a to takie złe ziółko, że po nim pryszcze wyskakują!

Teraz Elżunia zbliżyła się do Bronisia.

— Myślę — rzekła z powagą i zarozumiałością — że już nie jesteś dzieckiem i że potrafisz zrozumieć, że tu chodzi o ważne rzeczy. Ten konik ci się podoba, ale nie powinieś go dotykać, ani przyjmować tego podarku od Bóg wie kogo! Niech macocha wie, że my nie jakieś niemądre stworzenia, które można wziąć na piękne słówka i na zabawki! Jeżeli mię kochasz, odniesiesz tego konia skąd go wzięłeś i ani się go dotkniesz.

Broniś miał wielką ochotę bawić się konikiem i żył mu się kręciły w oczach, gdy odprowadzał wierzchowca pod ogołoczone ze świec i przysmaków drzewko, ale Elżunia pechlebiała jego miłości własnej, bał się, by go nie nazwała „babą” i chciał okazać wyższość swoją nad Marytką. Wmawiał w siebie mężstwo i odwagę, wołając:

— Zeby mi nawet żywego konia darowała, to go od niej nie wezmę!

Franio, cały czas zamyślony, ozwał się poważnie.

— Papa mówi, że ona dobra, więc pewno jest dobra.

— O lizus! pochlebca! — zawołała Elżunia. — Papie się tak zdaje! Ty nie masz serca! Ty nie rozumiesz, że ona tu wchodzi na miejsce, które jej się nie należy! Że nasza mamusia umarła, to nie powód, żeby zaraz inna ją zastępowała! Choć mamusia nasza leży na cmentarzu, ale my powinniśmy ją kochać, jakby żyła jeszcze. Powinniśmy pokazać tej jakiejś, co się chce tu dostać, że nam ani piękne słówka, ani prezenta nie zamydła oczu. To jest nasza mama! (tu Elżunia wskazała na fotografię), a tanta jest nieznamoma, obca i chce za naszego papę pójść, żeby sobie tu siedzieć w Litowie i nic nie robić tylko wszystkim dysponować i rządzić! Ale z Frania to zawsze pochlebca! Aż mi wstyd za ciebie.

Zwróciła się teraz do Marytki:

— No, Marytko, oddaj lalkę.

Ale tym razem ani prośby, ani groźby nie pomogły. Marytka wołała, że nie chce macochy, ale nie chciała też z rąk wypuścić prześlicznej lalki i z nią się do łóżeczka położyła, obejmując ją i przyciskając mocno do siebie, żeby jej kto tego ósnego cudu świata nie odebrał.

Broniś, usypiając widział ciągle przed sobą konika, uprząż, ale był przecież mężczyzną i gotów był cierpieć dla idei! Śniło mu się, że siodłał i kieżnał wierzchowca i leciał na nim w świat.

Elżunia usnęła na laurach. Nie zdołała wprowadzić odebrać lalki Marytce, ale braci potrafiła pod swój wpływ zagarnąć i oto żaden z nich nie będzie śniał dotknąć podarunku macochy. Ojciec mówił, że ona jest niemądrem dzieckiem niezdolnym do rządzenia domem, a ona wiedziała jak się wziąć do rzeczy. O, potrafiłaby doskonale dać radę wszystkiemu! Franio był tylko o rok młodszy od niej i przecie mężczyzna, a ulegał jej i postępował tak, jak ona chciała! No, kto też będzie silniejszy, ona czy macocha?

Dzieci usnęły. Walburgowa rozbierała się właśnie z zamiarem położenia się do łóżka, gdy lokaj zapukał do jej drzwi, oznajmiając, że pan Mierznicki prosi ją do siebie. Walburgowa struchlała. Ubrała się spiesźnie, czyniąc tysiące domysłów co do przyczyny wezwania jej, o tak późnej godzinie. Sunienie jej nie było zupełnie spokojne. Czuła, że postąpiła źle, budząc w dzieciach nienawiść do macochy. Nie byłaby wskazuje żałowała tego, gdyby nie przeczuła, że pan Mierznicki domyśla się w niej sprawczyńi złego usposobienia dzieci dla przyszłej opiekunki. Wyrzucała sobie teraz brak taktu i panowania nad sobą. Powinna była nad umysłem dzieci pracować z większą oględnością i przynajmniej Bronisia i Marytkę pozostawić na stronie, obawiając się ich niedyskrecyi. Ale przecież mogła się wytłomaczyć, mogła na przyszłość działać oględniej.

Stanął przed panem Mierznickim ze zwykłą miną pokory i dobroci, którą w obec niego przybierała. On ozwał się do niej stanowczo i spokojnie:

— Pani opuści dom mój za godzin parę; proszę rzeczy swoje upakować, coby zaś zostało, odeślę pod adresem, jaki pani wskaże.

Walburgowa załamała rękę.

— I za cóż to spotyka mię takie ubliżenie, taka zniewaga, żebym miała dom ten opuszczać w nocy, jak złodziej! Przecież ja nic złego nie zrobiłam! Pilnowałam pańskiego, jak swojego, a nad dziećmi czyż nie czuwałam?

— Niech sobie pani postępku mego nie poczytuje za zniewagę. Gdybym mógł, nie wyprawiałbym pani tak nagle ale od chwili, w której się przekonałem, że szczęście i dobro moich dzieci wymaga tego...

— Szczęście i dobro! — przerwała Walburgowa — a cóż to ja im złego uczyniłam?

— Pani nie jest w stanie ocenić zła uczynionego i dla tego musimy się pożegnać. Oto zapłata za rok cały.

Walburgowa wybuchnęła płaczem, pan Mierznicki wszakże był tak spokojny, surowy i poważny, że poznała przedko, iż postanowienia nie zmieni.

Dzieci przeszły teraz pod opiekę francuzki, która miała wiele zalet, ale że jej brakło powagi z dziećmi, więc wpływu na nie mieć nie mogła.

Pan Mierznicki był dla dzieci surowy i nieprzystępny. Często przy stole miał minę taką, jakby ich wcale nie widział. Cierpiał bardzo z powodu surowości, którą dzieciom okazywał, a dzieci także były bardzo nieszczęśliwe. Wreszcie obaj chłopcy poszli przeprosić ojca. Wynikła z tego bardzo czuła scena, w której ojciec przemawiał serdecznie i mówił, jak powinni otoczyć przywiązaniem kobietę, która się podejmowała trudnego zadania wychowywania cudzych dzieci i zastąpienia im matki. Marytka nie czuła wcale, że ojca obraziła i nie zauważyła jego surowego obejścia się z sobą. Nie myślała więc o przeproszeniu go. Przemawiała do niego jak dawniej i przychodziła po obiedzie po kawałek cukru umoczonego w kawie. Zatrzuwała tylko teraz życie francuzce. Co wieczór bywały płacze i wołania pani Walowej, co rano histerya przy myciu się i ubieraniu. Znarowione dziecko tupalo nogami, wydierało się, gdy je cesać chciano. Walburgowa dawała sobie radę płacąc cukierkami za umycie się, za uczesanie, za spokojne włożenie sukni. Francuzka była przeciwna takiemu postępowaniu i codziennie musiała przebywać istne walki z Marytką.

Najsmutniejsze było wszakże zachowanie się Elżuni. Zacięła się w uporze i nie chciała przeprosić ojca, a przeprosić go pragnęła. Ale miała w sobie jakąś taką fałszywą dumę i wstyd fałszywy, że się nigdy nie mogła zdobyć na przyznanie się do winy. Trapiła się wewnątrz, była z siebie niezadowolona, a jakiś zły upór ją kępował i nie wymogła na siebie postanowienia przeproszenia ojca. Tak więc było, że ojciec nie mówił do Elżuni, Elżunia nie odzywała się do ojca. Żyli pod jednym dachem, siadali do jednego stołu, a Elżuni się zdawało, że jest wyklęta, że na niej ciąży jakiś los srogi, a to ją tak przygniatał gniew ojcowski, którego odwrócić nie pozwalały jej upór i zaciętość. Prawie codziennie płakała położywszy się wieczorem do łóżka. Przemawiała do fotografii matczynej: „Mamusiu, zlituj się nad dzieckiem swoim!” Błagała matki umarłej o litość, a sama jej nad sobą nie miała. Widziała jak się czasem zatrzymywały na niej oczy ojca pełne bólu i gorzkiego żalu, poruszało ją to do głębi duszy, a jednak nie doprowadziło do tego, by mu się do nog rzuciła.

(d. c. n.)

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

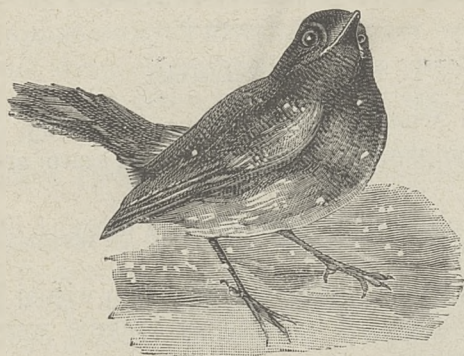
W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Ucieczka po Egipcie, wiersz p. Zofię Mrozowicką. — Siła nici pajęczej — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. Latarnia morska w Walde (z drzew.) — Ubiory na Wschodzie (z drzew.) — Ona, p. Zofię Kowerską. — Dodatek: Ptaki na śniegu, wiersz p. E. L. (z drzew.) — Pogadanka z wujaszkiem p. M. D. (dokończenie) — Baśń o chatce maleńkiej z błyszczącym okienkiem i o dzieciątku leżącym na śniegu (dokończenie) — Opowiadanie starszej siostry z angielskiego M-ss Molesworth. — Łamigłówni. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dla szczęścia rodziny Przekład Maryi B.



# WIECZORY RODZINNE.



## PTAKI NA ŚNIEGU.

— Brrr! jakże zimno! mróz ziemię ścina,  
Śnieg zawiął drogę do naszej chatki!  
Tak rażny Janek, wiejski chłopczyna,  
Przemówił z zalem do starej matki.

— Pusto, aż strasznie spojrzeć przed siebie,  
Po chatach ludziom ciepło wśród sioła.  
A tu rój ptasząt w śniegu się grzebie,  
I piszcząc, próżno o pokarm woła.

Tu chłopak od ust odjął chleb suchy,  
Na głowę wsadził czapkę rogatą,  
Wybiegł i kromkę starszy w okruchy,  
Rozdzielił między rzeszę skrzydlatą.

Skacząc napowrót do izby wpada.

— Ach biedne! jakże głód im dokucza,  
Spójrzyjno matko! jak ta gromada,  
Na każde ździebło, chciwie się rzuca.

O niebożęta! marne te ptaki,  
Ja na ich miejscu, mateńko droga!  
Wzbiłbym się prosto w niebieskie szlaki,  
Het! het! tam w górę, do Pana Boga.

I takbym smutnym zanucił głosem:  
„Na ziemi bieda, śnieg ją pokrywa,  
Zlituj się Panie! nad głodnych losem,  
Twej Opatrzności ptaszyna wzywa!”

Wtedyby pewno z dary hojnemi,  
Ręka mi Pańska błysła ofiarna,  
I posypała prosto ku ziemi,  
Jak na obrazku, chleby i ziarna!

Przerwała matka: — Boża opieka  
Inaczej niesie pomoc w potrzebie;  
On swym szafarzem czyniąc człowieka,  
Głodne te ptaszki przysłał do ciebie.

Oddaj więc kornie hołd Jego woli,  
Że cię wyborem raczył zaszczycić,  
Dając dziś, twardym chlebem niedoli  
U twego progu głodnych nasycić.

Jaś nic nie odrzekł, lecz w jego twarzy,  
Zabłysnął promień obietnic błogich,  
Że zawsze będzie, gdzie mu się zdarzy  
Szafarzem Niebios, ojcem ubogich.

E. L.



## POGADANKA Z WUJASZKIEM.

### OSIEŁ.

Nazajutrz przy rannem śniadaniu, Władzio siedział  
zamyślony i mniej rozmowny niż zwykle; nie uszło to  
uwagi dobrego wuja, który popatrzywszy nań trochę,  
zapytał:

— O czemże tak myślisz, mój mały?

— Ja, ja myślę teraz wujku — rzekł wreszcie nie-  
śmiało — jakiego koń ma u nas braciszka, którego jednak  
koniem nie nazywają.

— No, i domyśliłeś się pewnie?

— Nie wiem czy dobrze, ale mnie się zdaje, że to je-  
dynie może być osiełek.

— Doskonale! Powiedz mi jednak dla czego on,  
a nie żadne inne ze zwierząt domowych.

— Bo osielki też służą do jazdy, a przytem chociaż  
o wiele brzydsze, są jednak trochę do konia podobne.

— Słusznie zupełnie; zaraz możemy o tem przekon-  
nać się bo widzę, że nasz osieł wozí wodę do polewania  
kwiatów.

W tejże chwili ryk przeraźliwy rozległ się tuż pod  
oknami domu. Władzio wraz z wujem wyszedł przed  
dwór.

— Czy to osły zawsze tylko tak brzydko ryczeć  
umieją, i nie zarzą nigdy jak koniki? — zapytał chłopiec.

— Każde zwierzę ma głos sobie właściwy, a przy-  
znać trzeba, że ryk osła nie należy do najprzyjemniej-  
szych; jest też to jedna z cech różniących go od konia.  
Ale jak ci się zdaje, co go może do jednej z nim łączyć  
rodziny?

— Trzewiczki, wujku, prawda?

— Dobrze — z uśmiechem potwierdził wuj — a więc  
do jakiego to rzędu zwierząt zaliczysz osła?

— Do jednokopytnych, bo ma nogi zakończone je-  
dnem całkowitem kopytem. Wie wujek, ja mu dziś naj-  
pierw na nóżki patrzyłem.

— Widzę, że jesteś rozumnym i myślącym chłop-

czykiem, poszukaj mi więc dalej innych cech szczególnych.

— Osieł ma szkaradnie długie uszy, które go wcale nie zdobią.

— Przytem uszy te opadają ciężko, prawie na kark zwierzęcia, dla tego pogardliwie „klapouchem” go nazywają.

— I grzywa na karku krótsza i stercząca, a ogon też nie jest jak u konia porośnięty ślicznym długim włosom, a tylko na końcu ma jakby gruby pendzel.

— Bardzo dobrze, mój mały, są to też ważne różnice. Nadto kolor włosa jest u osła zawsze szary, a tylko przez grzbiet przechodzi czarna pręga. Grzbiet ten, jest stosunkowo do wielkości zwierzęcia bardzo szeroki, a chód jego ostróżny i powolny czyni go zdolniejszym do dźwigania ciężarów aniżeli do zaprzęgu, lub pod siodło, mówimy też że osieł jest przede wszystkim zwierzęciem „jucznym”.

— To może zbyt mu ciężko ciągnąć ten wózek z beczką wody, bo tak często przystaje, a nielitościwy ogrodniczek smaga go jeszcze bezustannie batem.

— Obowiązek ciągnięcia tego wózka nie przechodzi siły zwierzęcia, tylko, że osły z natury bardzo leniwe, niechętnie biorą się do jakiegokolwiek pracy.

— I uparte są, prawda wujku?

— A tak, i tę brzydką wadę musimy im przyznać.

— To jeżeli one takie niegrzeczne, czemu je jako zwierzęta domowe chowamy?

— Bo mimo tego oddają nam niejedną przysługę, szczególnie w drobnych gospodarstwach, gdzie wyżywienie konia kosztowałoby zbyt wiele; osieł bowiem zadawał się byle czem, lada zielsko mu wystarcza, a powolność jego, w górzystych szczególnie okolicach, staje się więcej przymiotem jak wadą. Zresztą w ojczystych swych krajach, osły o wiele lepiej się przedstawiają; u nas, w skutek złego obchodzenia się, przeciążania pracą i niedźnego żywienia przez długi szereg lat, rasa tych zwierząt bardzo podupadła. Jak koń, tak i osieł od niepamiętnych czasów jest zwierzęciem domowym, mniej jednak piękny i silny uległ on pewnemu zaniedbaniu i pogardzie, stał się prosto niewolnikiem, a nie przyjacielem człowieka. Podróźni utrzymują, że z tych okazów jakie u nas widzimy, nie możemy mieć żadnego pojęcia o osłach żyjących dotąd dziko w licznych stadach w krajach Azji i nad morzem Śródziemnem. W Egipcie między Nilem a morzem Czerwonem, mieszka gatunek osła „hamarem” zwanego, o którym mówią, że jakkolwiek przedstawia dużo podobieństwa z domowym, w zachowaniu swoim ma coś szlachetnego, a chód jego dumny i wspaniały, niczem nie przypomina przygnębionej postaci naszego domowego niewolnika. Tam też wśród skał i piaszczystych obszarów, umie podobno z koniem iść w zawody.

— Wujku — zawołał Władzio z wielkiem ożywieniem — ja dawniej osła nie bardzo lubiłem, teraz będę się zawsze litował nad tym biedakiem, i gdy mi tylko sposobność się zdarzy, to go nakarmię i popieszczę trochę. Pozwolisz mi wujku opiekować się przez lato tutejszym osielkiem? Może się też zmieni trochę i będzie weselszy, a nie taki ospały i smutny, jak go dotąd zawsze widziałem.

M. D.

## BAŚŃ

o chatce maleńkiej z błyszczącym okienkiem i o dzieciątku leżącym na śniegu.

przez **Z Morawska**

(Dokończenie).

Aż i wiatr powiał jesienny; wichry zaszumiły i deszcz potokami spłynął, ciemno i szaro zrobiło się na świecie.

A Wojtuś głodny i zmoknięty bieży, a chatka przed nim ucieka.

A im więcej chatka ucieka, tem więcej Wojtuś złości się i zlorzeczy i tem więcej pragnie wszystko z tej chatki zagarnąć.

Po przykrej, słotnej jesieni nastąpiła mroźna zima, śnieg przykrył pola i łąki, otulając swą białą szatą roślinki i maleńkie robaczki żyjące w głębi ziemi.

Ptactwo umilkło, zwierzęta dzikie pochowały się w kniei, ludzie przy ciepłym ognisku pracują w domu, jeden tylko Wojtuś bieży i bieży.

A chatka przed nim wciąż ucieka. Dym słupem prostym idzie w niebo z jej maleńkiego komina a światelko jasne, migoce z okienek.

Aż jednego dnia o zmroku, a było to w samą wigilię Trzech Króli, potknął się i upadł na wielką zaspcę śniegu.

I w tejsze chwili usłyszał płacz maleńkiego dzieciątka.

Serce mu w piersi zadrgało jakąś żalością, zapomniał o zmęczeniu i głodzie, zaczął się przysłuchiwać, skądby ów płacz dochodził. A tuż obok niego maleńka dziecina.

Bez okrycia na białym śniegu leży biedactwo, nawet koszuliny niema. I jeszcze większy żal ścisnął serce Wojtusia, aż łzy stanęły mu w oczach.

Podniósł dziecinę, okrył połą sukmanki i przytulił do piersi.

I oto nagle Wojtuś, który dotąd drżał ciągle z zimna, uczył ciepło, ale takie ciepło serdeczne, jakby go matula do piersi tuliła.

— Luli, luli, luli! — śpiewał przyciszonym głosem, spoglądając na dzieciątko, które nań jasnemi patrzyło oczkami.

— Ach, ale gdzież ja ciebie poniosę! — zawołał ze smutkiem.

Aż tu patrzy a on stoi tuż pod samemi drzwiami chatki, która dotąd ciągle przed nim uciekała.

Serce znów w nim żywo zakolało. Spojrzy, drzwi na pajęczą nitkę zamknięte.

— Eh — pomyślał sobie — toż to dopiero zaporą!

I popchnął drzwi chcąc je otworzyć.

Ale nitka pajęczą tak je silnie trzyma, jakby najsilniejszy zamek z grubego ukuty żelaza. Zafrasował się niepomału i rzekł sam do siebie:

— Mniejszać tam już o mnie, ale gdzież tę dziecinę ogrzeję i do snu ułożę?

Azaledwie wyrzekł te słowa, drzwi się same otworzyły, ciepło tchnieniem wonnem go objęło a światło ta-

kie jasne i piękne nań spadło, że aż oczy przymknął na chwilę.

Gdy je otworzył, dziwne rzeczy ujrzał dokoła.

Mrówki maleńkie krzątają się około ogniska, jedna drewek dorzuca, druga wodę przynosi.

Pajęczek rozwiesza swoje niteczki i tka płótno białutkie, które się zwiesza od sufitu aż do samej ziemi.

Roje różnobarwnych motylków unoszą się w powietrzu, pięknymi skrzydełkami rozdmuchują ogień, żeby nie zagasł, same świecą takim blaskiem, jakiego Wojtuś nigdy jeszcze nie widział.

I nie śmiał postąpić od proga, tylko stanął pokornie i rzecze:

— Pozwólcie mi tę biedną dziecinę złożyć a od głodu i chłodu ją ochronić.

A zaledwie rzekł te słowa kiedy pajęczek rzucił kawałek swego płótna ażeby było w co ową dziecinę owinać, motylki ze swoich skrzydełek zrobiły mu śliczną kołyskę, a mrówki w otwartą buzię nalewały uwarzonego przez siebie napoju.

Wojtuś patrzy na to wszystko i błogość coraz większa do serca jego spada i sam nie wie, co się z nim dzieje, że jest jakimś innym, jako był dotąd.

I wstyd go srogi ogarnął, że pragnął skarb bez pracy otrzymać, że życie pędził w próżniactwie, nikomu nic dobrego nie uczynił ale każdemu tylko psoty wyrządzał.

I upadł na twarz na progu owej chaty maleńkiej i przyrzekł sobie, że teraz innym już będzie, byleby dzieciątko, które znalazł na śniegu, zawsze mu dobrą drogę wskazywało. Boć zrozumiał, że to sam Pan Jezus stał się znów owem maleńkiem dzieciątkiem i czekał, czy też w sercu chciwego chłopca znajdzie się litość i choć raz o sobie zapomni.

I płakał Wojtuś i przyrzekał, że dobrym i pracowitym się stanie, aż oto nagle śpiew nad sobą usłyszał:

„Hej, chwała na wysokości!  
Jezus w Niebiosach się cieszy  
Gdy się kto błędów wyrzeka  
Biednym z pomocą pospieszy,  
Pracuje, skarbów nie czeka.  
Boć skarb prawdziwy ma dziecię  
Serduszko czyste i prawe,  
Żyje poczeiwie na świecie,  
A w pracy widzi zabawę.  
Hej, chwała na Wysokości!...

## OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-SS MOLESWORTH.

Ojciec nazywał zwykle mnie i moich braci „swymi chłopcami”, choć zdaje mi się, że lubo swawolna i roztrzepana, nie zasłużyłam na tak niewłaściwą dla dziewczynki nazwę. Dziś jestem już dorosłą panią, a mnie-

mam także, że z powodu mego ułożenia i zachowania się, nikt niema prawa nazywać mię chłopcem przebranym za dziewczynę. W marcu skończyłam lat czternaście; w owej jednak dalekiej epoce o której chcę mówić, miałam dopiero półdziesiątą roku, Tomcio miał lat siedm a Józio lat cztery. Przyrzekłam mamie i drugiej osobie, o której dowiecie się później, że wiernie opiszę wszystko co mi się wówczas przytrafiło; co zrobiłam złego lub dobrego.

Ów rok był godnym zapamiętania: lato spędziliśmy nad morzem, a co to za przyjemność zbierać muszelki na wybrzeżu! Po powrocie do domu dostałam odry a Tomcio naturalnie zaraził się odemnie. Muszę przyznać, choć to niejednemu dziwnem wydać się może, że w ciągu choroby nie przykrzyło mi się wcale. Powracając do zdrowia siedzieliśmy otuleni ciepłymi chustkami w wygodnych fotelach, mając ciągle przy sobie drogą mamusię, ona nas pieściła, dogadzała nam; opowiadając zajmujące bajeczki, obmyślając coraz nowe rozrywki.

Wtedy to właśnie ojciec otrzymał od rządu posłannictwo, które zmuszało go udać się w dalekie strony do Indyi. Ojciec jest uczonym człowiekiem i ludzie wszędzie tak w kraju jak zagranicą cenią go i szanują bardzo. Mogłabym wam powiedzieć jaki urząd piastuje, ale wówczas odgadlibyście łatwo prawdziwe jego nazwisko i gotowicie mnie o próżność posądzić. Można być dumnym z zasług położonych przez rodziców, ale nie należy przechwalać się z ich tytułów i stanowiska zajmowanego w świecie.

Nie zapomnę nigdy w jaki sposób dowiedziałam się o zamierzonym wyjeździe rodziców. Na małym stolczku urządzaliśmy balik dziecinny; jako starsza siostra przewodniczyłam uczcie. Józio, który lubo był z nami ciągle, nie uległ zarazie, spełniał obowiązki służącego i podawał półmiski. Bawiliśmy się doskonale.

Wieczorem Tomcio zmęczony, wcześniej zasnął, a Józio położywszy się przy nas na dywanie, spał na dobre. Jak oni ładnie wyglądali! Tomcio ze swoją różową buzią, z ciemnymi wijącymi się kędziorkami, a Józio z bladawą cerą i włosami blond o złotym połysku!

Ja także ziewać już zaczynałam, gdy naraz drzwi uchylły się zwolna. Sądząc, że to piastunka przychodzi po najmłodszego braciszka, udałam, że śpię niby. Omyliłam się jednak, byli to rodzice; spostrzegłam ich dopiero, gdy zasiedli przy kominku i zaczęli pocichu rozmawiać.

— Dzieci śpią już Maryniu? — zapytał ojciec.

Marynia, jakie to ładne imię! daleko ładniejsze od mego; chętniebym się na nie zamieniła.

Widzę, że ciągle odbiegam od głównego wątku opowiadania, co prawda nie łatwa to rzecz pisać pamiętniki; spróbujcie, a sami się o tem przekonacie.

Ojciec tedy pytał mamy czy my śpiemy. Rozmowa zaczynała się niby w bajce między ludożercą i jego żoną, tylko, że ojciec w niczem nie przypomina straszego potwora, a mama dużo jeszcze lepsza od tej kobiety, którą małemu karzełkowi i jego braciszkom uratowała życie. Nie mając zamiaru podsłuchiwać poufnej gawędki rodziców, już chciałam przemówić, gdy mnie uderzyły słowa mamy:

— Oh! moje drogie małe biedactwa! — mówiła to głosem tak żalonym, że mnie dziwny strach przejął.

Coś niezwykłego stać się musiało; może ojciec stracił majątek? Zdarza się to czasem w powieściach, a jak utrzymują, zdarza się i w rzeczywistości. Dla mnie takiego rodzaju nieszczęście nie miało wielkiego znaczenia.

Mieszkać w małym domku ocienionym bluszczem, samej gotować, sprzątać, zająć się gospodarstwem, to nie może przerażać, wszak te same obowiązki spełniałam bawiąc się na żarty w gospodynię!

Może wuja Franciszka spotkał jaki przykry wypadek? W takim razie jednak nie byłaby mówiła: moje drogie, małe biedactwa! nieszczęście to prawdopodobnie dotykało mnie i moich braci. Zapomniałam, że nie godzi się nigdy podsłuchiwać czyjej rozmowy i wstrzymałam się od najłżejszego poruszenia, któreby mnie zdradzić mogło. Obawiałam się, nie wiedząc sama czego. Przytłumione łkanie mamy przestraszało mnie niewypowiedzianie. Dziwiłam się potem, że mogłam nie rzucić się w jej objęcia, nie starać się jej pocieszyć; dziwna jakaś nieśmiałość przykuwała mnie do miejsca.

— Nie będę w możności rozłączyć się z nimi! — westchnęła matka.

— Biedna moja Maryniu! — odpowiedział ojciec smutnym, do głębi duszy przejmującym głosem — radbym ci tej boleści oszczędzić, ale przez wzgląd na dzieci, właśnie nie mogę zrzekać się stanowiska, świętą zapowiadającego przyszłość, w razie odmowy z mojej strony, zostałbym pozbawiony urzędu. Niepodobnieństwem również byłoby tam jechać bez ciebie; w tem położeniu kobieta wpływem swoim więcej niemal dobrego, niż mężczyzna zdziałać może.

— Wiem o tem niestety! — od godziny powtarzam sobie, że ty musisz jechać a ja muszę ci towarzyszyć; niemniej ta smutna konieczność doprowadza mnie do rozpacz — skarżyła się biedna mama. — Jutro może odważniejszą będę, dziś myśl rozłączenia się z nimi przygnębia mnie ostatecznie.

— Powinienem być może milczeć jeszcze dni kilka — mówił ojciec — ale ciążyła mi na sercu ta tajemnica.

— Lepiej, że wiem co mnie czeka — tłumaczyła mama. — Gdy pierwsze wrażenie minie, postaram się być silniejszą. Zresztą mało już czasu zostaje nam na przygotowanie.

— Zaledwie pięć lub sześć tygodni — odparł ojciec. Potem mówił o rzeczach których nie zapamiętałam, o nowych obowiązkach swoich, o korzyściach które stąd dla nas wyniknąć mogą. Nie wiele już rozumiałam; zdawało mi się, że to wszystko snem było przykrym. Czyż mama mogła nas odjechać! bez niej obejść się nie mogliśmy; co by się z nami stało! Naraz doszło mnie słów kilka, które w wysokim stopniu pobudziły ciekawość moją.

(d. c. n.)

#### ŁAMIGŁÓWKA ARYTMETYCZNA.

Pan N. zapytany o swój wiek odpowiedział: Gdy w r. 1887 obchodziłem dzień moich urodzin, liczba lat moich była trzy razy tak wielką, jak suma, którą otrzy-

mamy, przez dodanie czterech liczb roku mego urodzenia, a który ma jeszcze tę szczególną własność, że suma drugiej i trzeciej liczby wskaże miesiące, a różnica między czwartą a pierwszą liczbą dzień moich urodzin. Proszę więc obliczyć?

#### KWADRAT MAGICZNY.

a	a	d	Bogini przedświt.
e	o	o	Rodzaj poezji.
s	s	n	Dopływ Wisły.

Powyższe litery ułożyć w ten sposób, aby w kierunku pionowym i poziomym te same wyrazy odczytać można.

#### Skrzynka do listów.

Dziękujemy **Jagódce** z pod **Arkadyi** za dowód jej życzliwej pamięci i cieszymy się, że tak sumiennie spełnia obowiązki dobrej córki. Najmilszą chyba nagrodą dla rodziców, jest widzieć w dzieciach ludzi prawych, rozumnych, pożytecznych, pojmujących godnie zadanie człowieka, skarbiących sobie przyjaźń i szacunek otaczających osób. Sądzymy, że cel ten szlachetny wytknęłaś sobie **Jagódko**, skoro zamierzasz „o własnych siłach dążyć przez życie” nie skarżąc się na przykrości, napotymane ezestokroć na drodze samodzielnej pracy i marząc o tem tylko, aby być pomocą drugim.

**Józio S.** nie lubi wstawać wcześniej i pracować od siedmiu do ośmiu godzin dziennie, uważając, że w ten sposób pozostaje mu za mało czasu na wypoczynek i zabawę. Bądź jednak pewien, kochany chłopcze, że kiedyś ocenisz odniesioną korzyść z takiego trybu życia i wdzięczny będziesz tym, co cię do niego wkładają. Słusznie uczy przysłowie, że „czem skorupka nasiąknie za młodu, tem na starość traci.” Jeśli teraz nawykniesz do pracy, konieczność jej potem nie wyda ci się uciążliwą, a wiadomo ci dobrze, że praca jest podstawą bytu i pomyślności tak pojedynczego człowieka, jak całego społeczeństwa. Przyszłość tedy należy do ludzi hartownych ciałem i duchem; pieczołom źle zawsze dziać się musi na świecie. Mamy tysiączne tego przykłady; o wytrwałości i pracowitości dzieci w Ameryce często w pismach bywają wzmianki, teraz n. p. czytaliśmy o jedenastoletnim chłopcu z **Cotton** w północnej Ameryce, który pracuje w biurze telegraficznym i z największą akuratnością oraz znajomością rzeczy obowiązki swoje pełni. W **Kansas** znowu zamieszkują dwaj dziesięcioletni chłopcy, którzy handlują mlekiem bez uiczyjej pomocy; z początku mieli tylko jedną krówkę, dziś już oszczędnością i zabiegliwością doszli do tego, że mają pięć krów wózek i konia do rozwożenia mleka, rokują im też coraz większe powodzenie i niewątpliwie z czasem posiadać będą majątek własną pracą zdobyty.

Pamiętaj i serdecznej **Jagódce** z pod **Arkadyi** nawzajem życzenia pomyślności przy rozpoczętym Nowym roku zasylam. Nie wątpię, że gdy dojrzejesz zupełnie, słodyczą owocu twego ludzi zasilać będziesz, skoro teraz umiesz już w imię obowiązku wyrzec się osobistych przyjemności i usiłujesz pożyteczną pracą zdobyć sobie należne myślącej istocie stanowisko w świecie. Bodajbys w urzeczywistnieniu tych dobrych zamiarów nie napotkała nigdy zbyt wielkich trudności i zachowała w stosunku z ludźmi młodzieńczą świeżość uczucia, dzięki czemu obdarzasz niezmienną życzliwością wierną wam

*Jaskółka.*